Cena 20 halerzy. Preis 20 Heller.

NOWINY WIEDEŃSKIE

ILLUSTROWANE

Redakcya i administracya: Wiedeń III/1, Baumannstrasse 5 Telefon Nr. 10155.

Administracya otwarta od godz. 8 do 12 przedpołudniem i od 2 do 6 popołudniu.

ORGAN BEZPARTYJNY

Wychodzi raz w tygodniu, w sobotę rano

Wydawca i redaktor: Adam Nowicki.

Prenumerata roczna wraz z przesyłką pocztową 9 kor. 60 hal.; prenumerata kwartalna wraz z przesyłką 2 kor. 40 hal.

Rok II. Wiedeń, Sobota 27. lutego 1915. Nr. 9.

Świnek galicyjskich brakuje wiedeńczykom.

Wiedeń, 27-go lutego.

(A) Gdy się mija teraz sklepy masarskie w Wiedniu, nawet niewtajemniczonych uderzają dwa objawy dziwne: w sklepie panują pustki zupełne, gdyż brakuje kupujących, a w oknie wystawowym, na półkach i na hakach niema tyle towarów, co zazwyczaj. Trochę kiełbas, dwie albo trzy szynki, kilka ozorów wędzonych, — oto wszystko.

Gdy wejdziesz do restauracyi, znowu wpada ci w oko znamię charakterystyczne: w spisie potraw brakuje rzeczy, sporządzanych z wieprzowiny. Prawie nikt też nie żąda owych potraw.

Co to znaczy? Wszak wieprzowina i potrawy wieprzowe oraz wędliny należały od wieków do kąsków, najbardziej ulubionych przez ludność wiedeńską.

Nie inaczej! Ale od paru tygodni kobiety wiedeńskie prowadzą walkę cichą, systematyczną i skuteczną przeciwko masarzom i rzeźnikom, sprzedającym wieprzowinę. Gdy ceny wieprzowiny i wyrobów masarskich zaczęły niesłychanie skakać w górę, największy i najlepiej zorganizowany związek kobiet niemieckich w Austryi, tak zwane „Stowarzyszenie gospodyń", wydał hasło, by kobiety, należące do owego stowarzyszenia, zaprzestały kupować wędlin i wieprzowiny. To hasło przyjęło się, gdyż się opierało na podstawach faktycznych. Ceny wysokie wieprzowiny i wyrobów masarskich były nieuzasadnione. Śladami „Stowarzyszenia gospodyń" poszły również inne wiedenki niezorganizowane. Sklepy masarskie i jatki, sprzedające wieprzowinę, opustoszały . . .

Masarze i rzeźnicy, sprzedający wieprzowinę, początkowo z uśmiechem szyderczym przypatrywali się tej akcyi odpornej gospodyń wiedeńskich i pozawiedeńskich. Wnet atoli mina im zrzedła. Towar leżał i psuł się. Zwolna więc zaczęto ograniczać wyrób towaru. Aż wreszcie masarze zaczęli narzekać głośno, że to nie oni są winowajcami. Wina spada na handlarzy nierogacizny. Boć to oni za świnie żywe i bite, dostawiane do Wiednia, domagają się cen niebywale wygórowanych.

I oto na targowisku świńskiem w St. Marx przyszło z kolei do akcyi odpornej i obronnej masarzy oraz rzeźników wiedeńskich przeciwko handlarzom nierogacizny. W dwóch tygodniach ubiegłych owi masarze i rzeźnicy zaprzestali kupować towaru żywego i bitego. Komisyonerzy i handlarze nierogacizny znaleźli się w położeniu bardzo trudnem, wręcz tragicznem. Na wypadek, jeżeli nie mogą sprzedać towaru, mięso bite musi wracać do lodowni, gdzie ostatecznie podlega psuciu. Świnie żywe trzeba karmić i poić. Powiększa to niesłychanie koszta. Ewentualnie może zajść potrzeba odtransportowania ich z Wiednia. Zrodziły się więc z tego powodu najrozmaitsze komplikacye. Następstwem owych komplikacyj jest spadanie cen towaru żywego i bitego. Masarze i rzeźnicy będą mogli dzięki temu obniżyć ceny towaru do poziomu dawniejszego.

Akcya gospodyń wiedeńskich i pozawiedeńskich już teraz święci wielkie tryumfy.

Dlaczego jednak komisyonerzy i handlarze nierogacizny mogli zrazu wystąpić z cenami wy-

Walka powietrzna.



Nad wybrzeżem Flandryi walczą lotnicy angielscy i niemieccy.

górowanemi? Poprostu dlatego, że już od paru miesięcy brakuje na targu wiedeńskim w St. Marx świń galicyjskich. Wiedeń jest zdanym od końca października wyłącznie na łaskę i nie'askę dostawców węgierskich. Teraz pokazuje się najdosadniej, jaką wartość Galicya posiada dla zaprowiantowania Wiednia. Ten i ów z wiedeńczyków kręcił nosem do niedawna, gdy była mowa o wartości i znaczeniu Galicyi dla Wiednia. Teraz, gdy zabrakło świń galicyjskich i zboża galicyjskiego, gdy zabrakło ropy galicyjskiej i drzewa galicyjskiego, wiedeńczycy zaczynają rozumieć wagę Galicyi. Istnieje przysłowie niemieckie, które mówi, że żaden niemiec prawdziwy nie lubi włochów i francuzów, ale chętnie pije ich wina. To przysłowie łatwo w tym razie strawestować, i to w sposób całkowicie odpowiadający prawdzie. Ten i ów z wiedeńczyków kręci nosem, gdy mowa o Galicyi albo o przybyszach galicyjskich. Bez świń galicyjskich jednak wiedeńczyk obyć się nie może.

Współżycie polityczne rozmaitych krajów monarchii Habsburskiej wyrobiło wspólne potrzeby gospodarcze. Nikt w tem państwie nie jest wyłącznie dającym. Każdy bierze również od innych. Wiedeń, który w czasach pokoju, a nawet jeszcze i teraz podczas wojny spoglądał z góry na rzekomo dla niego nieużyteczną pod względem gospodarczym Galicyę, przekonał się teraz choćby tylko z racyi nierogacizny galicyjskiej, że ta Galicya posiada dla jego żołądka i dla jego kieszeni wartość pierwszorzędną.

Akcya rolników galicyjskich w Wiedniu.

Sekretaryat Komitetu Centralnego Wydziału Towarzystw rolniczych w Wiedniu nadesłał nam memoryał tegoż Komitetu w sprawie uruchomienia gospodarstw w Galicyi.

Na razie poprzestajemy tylko na wzmiance o tym memoryale, zastrzegając sobie obszerniejsze jego streszczenie, w jednym z najbliższych numerów „Nowin Wiedeńskich Illustrowanych". Już dzisiaj atoli musimy wyrazić nie tylko zadowolenie, ale także i radość, że rolnicy polscy w Galicyi nie założyli rąk, lecz wzięli się raźno, systematycznie i energicznie do pracy, mającej na celu pouczenie czynników rządowych, jak wielkie szkody poniosło rolnictwo galicyjskie i w jaki sposób oraz z użyciem jakich środków państwo musi rolnictwu tak wielkiego kraju koronnego, jak Galicya, przynieść pomoc bezzwłoczną i znaczną.

Podjęcie ruchu pocztowego pomiędzy Austryą i Belgią.

Krakowska Izba handlowa i przemysłowa zawiadamia „Nowiny Wiedeńskie Illustrowane", że podjęto ruch pomiędzy Austryą i Belgią w rozmiarach ruchu niemiecko-belgijskiego. Dopuszczone są za normalną opłatą listy zwyczajne i polecone, kartki pocztowe, druki, próbki towarów i druki kupieckie w języku niemieckim i francuskim do miejscowości: Antwerpia, Leodyum, Verviers i Welkenraedt. Zabronionem jest przesyłanie wiadomości o ruchach wojsk lub innych zarządzeniach militarnych.

Składki na rzecz „Samarytanina polskiego".

Delegacya wiedeńska „Samarytanina polskiego" przesłała nam wykaz datków, złożonych w gotówce na rzecz Delegacyi wiedeńskiej „Samarytanina polskiego" od 24-go grudnia 1914 roku do 31-go stycznia 1915 roku. Ofiarodawców było 58, którzy złożyli razem kwotę koron 1610·34

Nowy prezes Koła Polskiego.

Sylwetka człowieka.

Nowy prezes Koła Polskiego ma 69 lat, a wygląda tak czerstwo i zdrowo, że ludzie pięćdziesięcioletni mogliby mu pozazdrościć. Wzrostu dobrego, nie jest za otyłym, trzyma się prosto, chodzi żywo i prędko, twarz ma rumianą, co się odbija jeszcze wyraźniej przy brodzie siwiuteńkiej, okalającej policzki. Leon Biliński młodego potrafiby przeskoczyć.

Tę zażywność fizyczną i umysłową zawdzięcza przedewszystkiem życiu umiarkowanemu i nadzwyczajnie prawidłowemu, a następnie pracy ustawicznej. Gdyby ktoś szukał przykładu, że wytężona praca umysłowa podtrzymuje rześkość ciała i ducha, nie mógłby się powołać na dowód wymowniejszy, niż Leon Biliński. Od młodości dzisiejszy prezes Koła Polskiego był zawsze czynnym, zawsze pracował wytężenie. Boć nie zostaje się w 23-ym roku życia docentem ekonomii politycznej, a w 25-ym profesorem uniwersytetu, jeżeli się nie pracowało, i to porządnie.

I jeszcze na jeden pewnik życiowy dostarcza ta rześkość fizyczna i umysłowa dowodu niezbitego: kto go widzi, musi sobie powiedzieć, że tak konserwuje mężczyznę tylko małżeństwo szczęśliwe. Bo o tryb życia regularnego, o wszystkie potrzeby codzienne troszczy się niezmordowanie i dyskretnie małżonka ekscelencyi Bilińskiego, którą on nad wszystko na ziemi kocha i czci formalnie. W tej miłości owej pary ludzi, dzisiaj w lata podeszłej, tkwi coś wielkiego, coś formalnie świętego. Tworzą oni świat dla siebie samych i właściwie sami sobie doskonale wystarczają. Ekscelencya Biliński wie, że w domu zawsze znajdzie najlepszego i najwierniejszego przyjaciela, który jeden go tylko w zupełności zrozumie, pocieszy i wesprze radą, i z głowy i z serca płynącą.

A przed laty z górą 45 nie łatwo przyszło młodemu prawnikowi polskiemu, który jeszcze nie posiadał żadnej pozycyi, zdobyć rękę panny ładnej i mającej za ojca zamożnego i ustosunkowanego lekarza w jednej z miejscowości kuracyjnych niemieckich w Czechach. Przyszły teść nie wierzył, gdy młody Biliński, nie tając swych uczuć dla wybranej swego serca, zapowiedział, że niebawem zostanie profesorem uniwersytetu i wtedy zgłosi się po raz wtóry po rękę jego córki. A przecież tak się stało. Już w 1871 roku dr. Leon Biliński otrzymał nominacyę na profesora nadzwyczajnego ekonomii politycznej na uniwersytecie Lwowskim, w dwa lata później był profesorem zwyczajnym.

Jak pani Bilińska męża kochała i jak rozumiała jego stanowisko od samego początku pożycia, co nie każda młoda małżonka może o sobie powiedzieć, dowodem najlepszym, że nauczyła się biegle mówić po polsku, choć to niemcom w ogóle nie przychodzi łatwo.

W 1883 r. dr. Leon Biliński uzyskał mandat poselski do Rady Państwa. Ażeby się nie rozłączać, małżeństwo przeniosło się do Wiednia. Mieszkało wówczas bardzo skromniutko i obywało się służącą przychodnią. Ale za to poseł nie był zmuszonym się żywić potrawami restauracyjnemi wartości często wątpliwej, a na każde posiedzenie parlamentu przynosił drugie śniadanie, starannie opakowane przez żonę troskliwą.

Teraz od lat wielu dr. Leon Biliński mieszka już spory kawałek czasu w jednej z ulic niewielkich Josefstadtu niedaleko parlamentu. Dom nie grzeszy ani wystawnością ani wiekiem zbyt młodym. Ale dzisiejszy prezes Koła Polskiego przyzwyczaił się już do tych pokoi staromodnych, zrósł się z nimi, dobrze mu w nich.

Małżeństwo pozostało bezdzietnem. Oboje małżonkowie są otoczeni synowcami i siostrzeńcami. Dr. Leon Biliński jest bratem wzorowym.

Latem od lat wielu spędza szereg tygodni w Ischlu. Ma tam również stale wynajęte mieszkanie, urządzone i gotowe na jego przyjęcie. Ale i na letniem mieszkaniu pracuje, ponieważ bez pracy nie wyobraża sobie wogóle życia. I rzecz szczególna, wbrew zwyczajom, przyjętym w Wiedniu, który idzie wcześnie spać i wcześnie wstaje, dr. Biliński pracuje do nocy późnej, a mimo to wygląda — jak już powiedziano wyżej — niezwykle czerstwo.

Gdy był prezesem Koła Polskiego po raz pierwszy, sam — jak wszyscy poprzednicy — bez niczyjej pomocy załatwiał wszystko, co prezes Koła Polskiego musi załatwiać, poczynając od korespondencyi rozległej, a kończąc na interwencyach w ministerstwie. Ten człowiek niemłody, przyzwyczajony jako dygnitarz na wysokich pozycyach urzędowych do całego sztabu urzędników, wykonujących jego zlecenia, nienawykły, by każdy pierwszy lepszy interesent wlazł mu w drogę i zabierał czas, był wtedy od lipca 1911 r. do lutego 1912 cały dzień na nogach, odpisywał sam na mnóstwo listów, przyjmował każdą deputacyę, mówił nawet z każdym wyborcą, który się zjawił w parlamencie, a równocześnie prowadził konferencye z rządem, stronnictwami, politykami, przewodniczył naradom prezydyum i komisyi parlamentarnej Koła Polskiego oraz posiedzeniom plenarnym.

Teraz dr. Biliński będzie jako prezes Koła Polskiego urzędował w Domu Polskim na Wallnerstrasse. Urządzono mu tam biuro jako przewodniczącemu Komitetu, zajmującego się losem przybyszów galicyjskich. Pomagać mu będzie w załatwianiu spraw bieżących jego sekretarz przyboczny z ministerstwa skarbu wspólnego hr. Dziedusżycki. Wziął on urlop półroczny, byle tylko nieść pomoc swemu ukochanemu szefowi. Sprawy biurowe raz pójdą przeto łatwiej, prezes nie będzie musiał myśleć sam o drobnostkach i nie będzie tak nagabywanym, jak to się działo za pierwszej prezesury.

Uczyć się młodszym energii, pracowitości, lotności umysłu od dzisiejszego prezesa Koła Polskiego.

Głos z Węgier.

Prośba do czynników decydujących polskich w Wiedniu.

Od jednego z przyjaciół „Nowin Wiedeńskich Illustrowanych" na Węgrzech otrzymaliśmy list, który z opuszczeniem szczegółów czysto prywatnych, podajemy tutaj dosłownie:

„Wielmożny Panie Redaktorze! Za artykuł, poruszający sprawę uchodźców polskich, tak w imieniu mojem, jakoteż szerokich sfer Polonii tutejszej dziękuję. Z tego artykułu widzimy, że Wielmożny Pan Redaktor w samo sedno uderzył, poruszył to, co nas najbardziej boli, i wezwał tych, którzy o nas dbać powinni, aby swoje obowiązki wobec nas wypełnili, gdyż dotychczas o tem zapominali. Czekamy tedy skutku tej odezwy, która — jak spodziewamy się — trafi, gdzie należy. Ale kiedy to będzie? Tu szkoda nie dnia każdego, ale każdej godziny. Ileż ludziom dzieje się szkody, od której możnaby ich zasłonić, ileż jest przysłowiowej naszej nieporadności i apatyi, którą możnaby usunąć, a ileż nędzy, której nawet małymi środkami możnaby zaradzić, gdyby był ktoś do tego powołanym, to się opisać nie da. Już mię „Wojskim" w całej okolicy nazywają, bo — o ile mogę — jak mi to „z wieku i urzędu" wypada, zaglądam między rodziny kolejarzy i wojskowych, których ojcowie są na terenie walki, i co mogę, to robię"....

W pierwszym rzędzie zwracamy się do pana ministra galicyjskiego dra Zdzisława Morawskiego i jego zastępcy pana radcy dworu, dra Juliusza Twardowskiego jako osobistości urzędowych, by zajęli się zorganizowaniem osobnego komitetu polaków, przebywających na Węgrzech, i wyjednali dla tego komitetu placet prezesa ministrów węgierskich, Stefana hrabiego Tiszy.

Spodziewamy się też, że prezes Komitetu pomocy dla przybyszów galicyjskich, dr. Leon Biliński, obecnie prezes Koła polskiego, weźmie sobie także sprawę polaków-tułaczy, przebywających na Węgrzech, żywo do serca. Do tej pory istotnie o polakach, przebywających na Węgrzech, zupełnie, ale to zupełnie zapomniano. Na podstawie informacyj, które napływają do Wiednia, widać, że jeszcze dzisiaj znajduje się na Węgrzech ilość olbrzymia polaków-tułaczy, pozostawionych zupełnie bez opieki. Pora położyć temu kres. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rząd węgierski nie tylko nie będzie robił trudności w zaopiekowaniu się z Wiednia tułaczami polskimi na Węgrzech, ale zrobi także dużo sam w dziedzinie administracyjnej, by w każdym razie ulżyć doli owych tułaczy-polaków.

List otwarty posła Henryka Reizesa do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Sazonowa.

Poseł do parlamentu austryackiego z miasta Złoczowa, pan Henryk Reizes wystosował list otwarty do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych pana Sazonowa:

„Na żydów spadł wielki zaszczyt. Część mowy, z pomocą której Wasza Ekscelencya chciał poinformować „zgodnie z prawdą" Dumę o położeniu, wywołanem wojną, poświęcił Pan żydom. Podczas tej mowy oświadczył Pan z ukłonem, wiele mówiącym w stronę obecnego w loży dyplomatów ambasadora Stanów Zjednoczonych, że wiadomości o okrucieństwach i pogromach, których rosyanie dopuszczają się względem żydów, są nieprawdziwe. Te pogłoski tendencyjnie zmyśla rząd niemiecki, względnie jego ambasador w Waszyngtonie. Ludność żydowska — tak Pan powiedział — cierpiała tylko w miejscowościach, leżących na teatrze wojny, ale nie cierpiała więcej, aniżeli było to nieuniknionem.

Doprawdy zaszczyt, że cesarsko rosyjski minister spraw zagranicznych podczas wielkich wypadków wszechświatowych uznał za stosowne poświęcić żydom wzmiankę osobną, jest bardzo wielki. Żydzi powinniby z tego powodu odczuwać radość i zadowolenie, gdyby wogóle wśród tych ludzi biednych, prześladowanych i męczonych z pomocą tortur wyszukanych, mogło powstać tego rodzaju uczucie. Co prawda, to i w takim razie podziałałaby ujemnie myśl, że do zajmowania się żydami skłoniło Pana nie uczucie ludzkości albo sprawiedliwości, lecz zamiar ukrycia barbarzyństwa Pańskiego kraju wobec waszych sprzymierzeńców, a mianowicie anglików „bojących się Boga". Jeszcze bardziej pchnął Pana do tego kroku zamiar uspokojenia opinii publicznej Ameryki, tej prawdziwej ojczyzny wolności. Co prawda, właściwie dziwne wywiera wrażenie owa próba, którą Pan podjął, Pan, będący ministrem państwa cytadeli Petropawłowskiej, państwa takich katów, jak Murawiew, Kaulbars e tutti quanti, państwa pogromów krwawych w Kiszyniewie i Kijowie, próba przedstawienia ludu poetów i myślicieli jako barbarzyńców, a siebie jako przystani wolności. Celem atoli listu niniejszego nie jest polemika, lecz sprostowanie nieprawd świadomych, nieprawd, których się Pan dopuścił, zaprzeczając okrucieństwom, popełnianym przez rosyan na żydach podczas wojny obecnej. Do tego sprostowania i pouczenia opinii publicznej amerykańskiej poczuwam się obowiązanym i powołanym jako żyd i jako reprezentant narodu. Rzecz prosta, że nie tutaj jest miejsce na przedłożenie całego materyału nagromadzonego. Na to przyjdzie czas po wojnie, gdy się będzie pracowało nad zestawieniem przeglądu ogólnego.

Na razie poprzestaję na przytoczeniu tylko kilku faktów.

1. W wszystkich miejscowościach, do których wkraczali Pańscy żołnierze, bardzo odważni wobec bezbronnych, pytali nasamprzód o domy żydowskie (jewrej), aby je napaść i rabować.

2. Ile razy żydzi skarżyli się u oficerów rosyjskich z racyi dokonywanych u nich rabunków, ci ostatni odmawiali wszelkiej pomocy, oświadczając, że nie warto karać z powodu jakiegoś tam żyda żołnierza rosyjskiego, choćby to nawet był i rozbójnik.

3. W tomach grubych nie spisanoby wypadków zgwałcenia kobiet i dziewcząt żydowskich przez żołnierzy rosyjskich.

4. Żydzi, którzy jeszcze przed najazdem rosyjskim składali dowody swojego przywiązania do dynastyi ojczystej, byli narażani w wypadkach niezliczonych na tortury jak najbardziej wyrafinowane, zadawane im przez rosyan.

5. W tych okolicach, w których rosyanie burmistrzowali choćby tylko przez czas krótki, nie było ani jednego dobytku żydowskiego, który nie poniósłby szkód i strat.

6. W Lwowie, w siedzibie — niewątpliwie przemijającej — generał-gubernatora rosyjskiego rosyanie urządzili w jego obecności podczas bardzo uroczystych świąt żydowskich pogrom krwawy. Ofiarą tego pogromu padły setki żydów niewinnych. Z karabinów strzelano na ludzi zupełnie bezbronnych, jak gdyby to byli nie ludzie, lecz zwierzęta dzikie. Modlitw w wigilię Święta Pojednania nie można było odprawić.

7. Z Bukowiny, którą niedawno uwolniono od moskala, donoszą, że żydom nie tylko nie płacono za rzeczy rekwirowane, lecz grożono im także spaleniem ich domów. Tę groźbę w wielu wypadkach wykonano.

8. W Królestwie Polskiem, gdzie namiętności furya wojenna rozpętała jak najskrajniej, rząd Pański, Panie Ministrze, podszczuwał warstwy najmętniejsze ludności celem dokonywania morderstw i rabunków na żydach. Owo podszczuwanie odbywało się w sposób, przewyższający wszystkie do tej pory używane sposoby.

9. W temże samem Królestwie Polskiem rząd Pański, Panie Ministrze, polecił, aby wszyscy żydzi na odgłos bębna zebrali się w pewnem z góry oznaczonem miejscu. Gdy w kilku miastach żydzi stawili się na taki sygnał, nakazano im opuścić miasto w przeciągu trzech godzin. W razie przeciwnym nieposłuszni ponieśliby karę jako szpiedzy z rąk sądu wojennego. Oczywista, nie było nieposłusznych. Tysiące i tysiące pod eskortą żołnierzy porwano z mieszkań, pozbawiając ich majątków i dobytku. Z pomocą nahajek i kijów żołnierze nielitościwi zmuszali te biedne ofiary do pośpiechu coraz to większego. Twierdzą powszechnie, że widok tych upadających z zmęczenia mężczyzn, kobiet, starców i dzieci miał poprostu rozdzierać serca widzów. Tylko ich kaci nie odczuwali litości. A gdy wreszcie osiągnięto cel wędrówki — wieś, w której ci nieszczęśliwi mieli przebywać do końca wojny — wówczas brakowało często i połowy wędrowców. Wyzionęli ducha podczas pochodu. Zabiły ich głód, zimno, zmęczenie, choroba, a często także i ciosy eskorty zdziczałej.

10. Wszystkie te zbrodnie, dokonywane na żydach podczas obecnej wojny, tylko echem nader słabem przedostają się za granicę. Ale pogromy prawdziwe nie ustają. Strasznym jest ucisk głuchy, ciążący na biednych żydach. Jakżeż nieludzkim, wręcz zwierzęco nieludzkim jest zakaz, niedopuszczający matek i żon żydowskich do synów i mężów, którzy służąc w armii, ponieśli rany albo ciężko zapadli na zdrowiu. A dzieje się to tylko dlatego, że szpitale wojskowe leżą poza strefą osiadłości żydowskiej. Jak nielitościwem jest to rozporządzenie z uwagi na biednych chorych, którzy nabawili się choroby i cierpień w służbie państwowej! Czyż nie jest to metoda czysto rosyjska, by zmusić pół miliona żydów do służby w szeregach, a następnie traktować ich niby wyjętych z pod praw i trędowatych, podobnie, jak i najbliższych członków ich rodzin?

Jeżeli jest prawdą, że historya wszechświatowa tworzy zarazem trybunał wszechświatowy, to w takim razie, Panie Ministrze, wyrok na Rosyę i jej katów zapadnie straszliwy. Ale w każdym razie bez względu na to, jakim będzie ten wyrok, niechaj Pan, Panie Ministrze, w swoich mowach nic więcej o żydach nie wspomina. Obłuda już oddawna należy do stałych rekwizytów politycznych każdego ministra rosyjskiego. Staranie Rosyi przecież, aby w kwestyi żydowskiej umyć ręce i zrzucić z siebie całą winę — takie staranie jest nie tylko bezskutecznem, lecz wprost śmiesznem.

A na wypadek, jeżeli w samej rzeczy istnieje opinia publiczna, kierowana poczuciem sprawiedliwości i zamiłowaniem do swobody, jeżeli ta opinia publiczna będzie miała wpływ na zachowanie się państw neutralnych, to w takim razie nie stanie ona nigdy po stronie Rosyi. Z góry i z wszelką pewnością można to powiedzieć o wielkiej Unii Północno Amerykańskiej. Ojczyzna Washingtona i Lincolna nie pozwoli wyprowadzić się w pole przez państwo Plehwego i Ignatiewa, przez państwo, dopuszczające się nieustannie morderstw masowych.

Wiedeń, 16-go lutego 1915.

Henryk Reizes
poseł do parlamentu austryackiego.

* * *

Z racyi tego listu poseł Reizes otrzymuje nieustannie mnóstwo podziękowań. Między innemi czytaliśmy list bardzo piękny, który imieniem stowarzyszenia „Koło kobiet żydowskich" (Lwów) wystosowała do niego przewodnicząca pani Róża Melzerowa.

Sztuka podczas wojny.



Artyści scen kabaretowych paryskich śpiewają na ulicy.

W sprawie szkód wojennych.

Związek Społeczno-Narodowy wystosował odezwę w sprawie szkód wojennych. Ta odezwa wzywa wszystkich poszkodowanych, by w swoim własnym interesie podawali szkody poniesione, i to jak najdokładniej według poniżej zestawionego kwestyonaryusza. Wszelkie zapytania i odpowiedzi należy przesyłać pod adresem: Profesor Roman Dzieślewski, Wien VIII, Josefstädterstrasse 14, T. 21.

Kwestyonaryusz brzmi: 1. Miejscowość i powiat; 2. Imię i nazwisko poszkodowanego; 3. Narodowość; 4. Zawód (zatrudnienie); 5. Jakość szkody — co zniszczono (budynki, urządzenie domowe, bielizna, pościel, warsztat, materyały sklepowe, sprzęty gospodarskie, zwierzęta domowe, zapasy żywności, pieniądze i t. p.); 6. Wysokość szkody w koronach; 7. Sposób powstania szkody (pożar, strzały, rabunek, rekwizycya); 8. Świadkowie szkody (imiona i nazwiska osób, mogących poświadczyć wyrządzone szkody, oznaczenie władz, które szkody sprawiły i t. p.); 9. Obecny adres poszkodowanego; 10. Obecne środki utrzymania poszkodowanego; 11. Wysokość straty w normalnym dochodzie, względnie zarobku poszkodowanego w czasie pierwszych sześciu miesięcy wojennych.

Z teatru wojny.

Prasa niemiecka i ludność Królestwa Polskiego.

Z wielką przyjemnością godzi się zaznaczyć zmianę stopniową, którą z tygodnia na tydzień można obserwować na szpaltach prasy Rzeszy Niemieckiej. Sprawozdawcy wojenni dzienników Rzeszy Niemieckiej, wysłani na wschodni teatr wojny, początkowo z wyjątkami nielicznymi nie traktowali zbyt życzliwie ludności polskiej. Nie umiejąc zrozumieć pewnych objawów odrębnych w życiu i bycie tej ludności, nie wiedząc, że wina główna za zaniedbanie kulturalne w wielu dziedzinach życia społecznego w Królestwie Polskiem spada wyłącznie na rząd rosyjski, nie zdając sobie sprawy, że czynownicy rosyjscy w Królestwie Polskiem z złośliwością rozmyślną niszczyli wszystko to, co z dawnej kultury polskiej pozostało w Królestwie Polskiem, — korespondenci prasy Rzeszy Niemieckiej w Królestwie Polskiem ogłosili niejeden fejleton i niejeden list, który mógł dotknąć boleśnie ludność polską. Ale po zetknięciu się bliższem z ludnością polską dziennikarze niemieccy zaczęli zmieniać swoje zdanie o jej wartości kulturalnej i o jej zaletach. Przekonali się, że nawet w ludzie wiejskim Królestwa Polskiego tkwi stara i cenna kultura, której nie zdołały zniszczyć wszelkie zakusy rusyfikacyjne. Przekonali się, że w całym ludzie mazurskim i w średniej szlachcie Królestwa Polskiego gnieździ się dużo zmysłu gospodarczego i olbrzymiej energii duchowej. Niech wrócą tylko do Królestwa Polskiego stosunki normalne i niech to Królestwo Polskie wydobędzie się z pod łapy obrzydliwej moskala, a świat zdziwi się, jak bogatem i jak rządnem będzie w dziesięć lat po wojnie obecnej społeczeństwo polskie w Królestwie. W „Berliner Tageblatt", w dzienniku, który nie zawsze bywał dla polaków przychylnym, znaleźliśmy opis gospodarki w kilku majątkach ziemskich koło Kutna, przyznający, że lepszego porządku i lepszej gospodarki nie możnaby znaleść nawet w najbardziej kulturalnych okolicach Niemiec. Te same słowa uznania wypowiada dzisiaj większość sprawozdawców niemieckich. Jesteśmy przekonani, że w miarę lepszego poznawania Królestwa Polskiego stosunki polsko-niemieckie polepszą się nie tylko z samem Królestwem Polskiem, ale na całej linii. Niemcy podczas obecnej wojny nauczyli się jednej wielkiej prawdy, a mianowicie szanowania indywidualności obcych narodów. Nam. polakom jako najbliższym sąsiadom niemców wyjdzie to w pierwszym rzędzie na pożytek.

Dlaczego amerykanie wolą anglików, aniżeli niemców.

Znany dziennik berliński „Vorwärts" (numer 42, z 11-go lutego) rozstrzyga owo pytanie, które w chwili obecnej posiada wagę niesłychaną. Wiadomo bowiem z depeszy, że rząd północno-amerykański wystosował pod adresem rządu niemieckiego notę niesłychanie ostrą z racyi zamierzonej blokady Anglii przez czółna podmorskie niemieckie. Między wierszami tej noty można wyczuć bardzo dokładnie stronniczość rządu północno-amerykańskiego, fakt, że amerykanie stanowczo wolą anglików, aniżeli niemców, wolą bardziej, pomimo, że przez lat z górą 100 amerykanie serdecznie anglików nienawidzili. Berliński „Vorwärts" powołuje się na zdanie znanego socyalisty północno-amerykańskiego pana Algernoon Lee. Ow socyalista północno-amerykański przyznaje, że od samego początku wojny sympatye amerykańskie dla anglików występowały w sposób bardzo jaskrawy i wręcz niezgodny z neutralnością. Dlaczego się tak dzieje?

Fakt — tłómaczy pan Algernoon Lee — że amerykanie stoją teraz po stronie trójporozumienia i przeciwko Niemcom, nie wynika, iż amerykanie mają w swoich żyłach krew brytyjską i mówią po angielsku. Niepodobna także tłómaczyć owego faktu okolicznością, że niemcy naruszyli neutralność Belgii.

Niechęć, i to silna do Niemiec, tkwiła w opinii publicznej amerykańskiej jeszcze przed wybuchem wojny obecnej. Tylko tej okoliczności należy przypisać powodzenie, z jakiem prasa amerykańska zdołała rozbudzić ową drzemiącą niechęć antyniemiecką. I tak prasa amerykańska pomieszczała na miejscach wybitnych i widocznych opis okrucieństw rzekomych, których mieli się dopuszczać niemcy w Belgii. Natomiast te same pisma przemilczały o orgiach antysemickich w Rosyi, milczały o zarządzeniach brutalnych, mających na celu rusyfikacyę Finlandyi i zgniecenie organizacyi proletaryatu rosyjskiego. Czytelników amerykańskich karmiono rankiem, w południe i wieczorem wiadomościami skrajnie jednostronnemi i skrajnie jednostronnymi komentarzami redakcyjnymi.

Ta jednostronność prasy mieszczańskiej amerykańskiej nie jest przecież zjawiskiem nowem. I tak już przed dziesięciu laty opowiadano sobie zupełnie głośno w Paryżu, że dziennik „New York Herald" nie pobiera w Petersburgu subsydyów, jak pobierają wszystkie inne pisma francuskie szowinistyczne. A nie pobiera tylko dlatego, że Benett, wydawca tego dziennika, żyjąc w przyjaźni z wielkimi książętami rosyjskimi, zadarmo wychwala Rosyę i przemilcza wszystkie nadużycia tyranii rosyjskiej. W każdym razie jednak jest rzeczą uderzającą, że od chwili utworzenia trójporozumienia wszystkie dzienniki amerykańskie, które poprzednio grzmiały przeciwko Rosyi, odrazu umilkły albo też zaczęły pisać o Rosyi dobrze. Z tą chwilą zmieniła się też postawa owych dzienników wobec Niemiec.

Już przed laty dziesięciu albo i dwunastu eksporterzy amerykańscy odczuwali konkurencyę niemców daleko dotkliwiej, aniżeli konkurencye angielską na rynku azyatyckim i na rynku romańsko-amerykańskim. Dlatego też kapitaliści amerykańscy mają prawie zupełnie ten sam powód, który mają kapitaliści angielscy, aby życzyć klęski przemysłowi niemieckiemu i handlowi niemieckiemu. Drugą, może jeszcze ważniejszą przyczyną niechęci amerykanów do Niemiec jest okoliczność, iż w przedsiębiorstwach handlowych, finansowych i przemysłowych amerykańskich tkwi pięć albo sześć miliardów kapitału angielskiego. Kapitał angielski w Stanach Zjednoczonych przewyższa stanowczo ogół wszystkich kapitałów niemieckich, ulokowanych w Stanach Zjednoczonych i równocześnie ogół kapitałów amerykańskich, ulokowanych w Niemczech. Jest rzeczą naturalną, że te fakta muszą wywierać wpływ na stanowisko redakcyjne prasy mieszczańskiej amerykańskiej. Każde słowo, które tam pisałoby się przeciwko trójporozumieniu, byłoby równocześnie wymierzonem przeciwko fabrykantom i kupcom amerykańskim, mającym udział w handlu wywozowym, i przeciwko właścicielom akcyj przedsiębiorstw angielsko-amerykańskich. Dlatego też te sfery kapitalistyczne starają się skłonić prasę do nienawiści przeciwko niemcom. Wszyscy ci kapitaliści są związani z Anglią, ale nie z Anglią ludu angielskiego, lecz z Anglią kapitalizmu międzynarodowego. Ta sama potęga, która dzisiaj chce wywołać nienawiść przeciwko Niemcom, przed dwoma albo trzema laty starała się wywołać nieprzyjaźń przeciwko turkom, a przed dziesięciu laty przyjaźń dla Rosyi.

Hyeny pobojowiska.



Patrole niemieckie konwojują rabusiów moskiewskich.

Córka policmajstra Kronstadtu.

Powieść oryginalna z przeszłości niedawnej. Napisał Stefan Dobrycz.

(Ciąg dalszy). (40).

Obydwaj niemcy już nie zmienili z sobą ani słowa, lecz porozumiewali się za pomocą uścisku rąk. Wreszcie Lochow dał znak Blumemu, by na chwilę pozostał w tyle. On zaś chciał poczołgać się naprzód. Blume opierał się przez chwilę, lecz potem zastosował się do życzenia towarzysza. Został sam. Zrazu widział jeszcze kontury czołgającego się ostrożnie Lochowa. Potem te kontury zniknęły. Upłynęło sporo czasu, zanim Lochow powrócił.

— Jest ich trzech — objaśniał szeptem. — Są już na poły pijani. Nie mogłem sprawdzić, czy mają broń przy sobie. Cherlaki — dodał po chwili z pogardą. — Takim czterem nawet dalibyśmy doskonale rady...

— Wiecie co, Lochowie — rzekł Blume — dlaczego mamy czekać tak długo, aż opuszczą oni to podziemie. Napadniemy na nich znienacka, skrępujemy i zagrozimy śmiercią, jeżeli nie pokażą nam wyjścia z tych podziemi. Każdy złoczyńca jest w gruncie rzeczy tchórzem. Gdy znajdą się w naszej mocy, zrobią wszystko, czego od nich zażądamy.

— Doskonale, panie poruczniku — odszepnął Lochow. — Takim był w gruncie rzeczy i mój plan, gdy wracałem, ale prawdę mówiąc, nie śmiałem tego panu porucznikowi zaproponować.

Szeptem ułożyli cały plan podsunięcia się pod obóz drabów ucztujących.

— W tem miejscu, w którem siedzą, korytarz tworzy rodzaj komory. Hałasują tak głośno, że nie będą słyszeli, gdy przyczołgamy się tutaj w ich sąsiedztwo. Wówczas rozdzielimy się i weźmiemy ich w dwa ognie.

W kwandrans później Blume znajdował się o kilkanaście kroków od legowiska trzech hałasujących osobników. W świetle dwóch latarń mógł się im przypatrzyć dosyć dokładnie. Żaden z nich nie liczył nawet trzydziestki. Ale życie zbrodnicze wyryło na ich twarzach wychudłych i zaczerwienionych od pijaństwa piętno przedwczesnej starości. Najsilniejszym wydawał mu się ten, który siedział na beczułce o kilka kroków od niego. Był to mężczyzna przysadkowaty i krępy. Dwóch innych Lochow mógł powalić jednem uderzeniem pięści, z tym jegomościa będzie jednak trochę roboty. Rzecz najważniejsza — pytał się Blume siebie samego w duchu — czy te draby nie mają przy sobie noży. Apasze paryscy bez noża się nie ruszają. Umieją też nim władać doskonale. Być może atoli, że noże pozostawili w marynarkach, które w ciągu uczty pozrzucali z siebie. Skutkiem wypicia mnóstwa trunków było im widocznie za gorąco.

— Draby — rozumował Blume dalej — obrabowali jakiś skład z delikatesami i winem. Świadczą o tem liczne puszki konserw, porozrzucane po ziemi, opróżnione butelki likieru i wina szampańskiego, słoiki z kompotami i owocami.

W chwili, gdy obydwaj niemcy znaleźli się zaledwie o kilkanaście kroków od apaszów, ci ostatni podnosili właśnie w górę szklanki, napełnione szampanem.

— Niech żyje Pepita! — zawołał ów jegomość przysadkowaty. — Kto nie wypije ze mną, tego naznaczę nożem.

— I noże są — pomyślał Blume.

— He, he — zaśmiali się głupkowato dwaj inni apasze, chude, marne zdechlaki. — Żeby noża używać, trzeba go mieć.

— Ja mam — oświadczył pierwszy apasz.

— Nie masz go, nie masz — wołali obydwaj zdechlaki.

— Jak to nie mam?

— Nie masz go — zawołali dwaj inni — bośmy go ci zawczasu wyjęli.

Apasz przysadkowaty zerwał się z beczki. Zanim atoli postąpił krok jeden, Blume podczołgał się tuż pod niego i silnem uderzeniem obalił na ziemię. Z chwilą, gdy wiedział, że apasz nie ma noża przy sobie, nie robił już z nim żadnych ceremonij. Natychmiast jego przykład naśladował i Lochow. Dwoma ruchami ręki owładnął obu apaszami i przycisnął ich do ziemi.

— Ani słowa — zawołał dobrą francuszczyzną — bo inaczej weźmę się do was ostro. Jesteście aresztowani.

Tymczasem Blume pospiesznie wiązał sznurkami, które leżały na ziemi, ręce i nogi swojej ofiary. W trzy minuty później wszyscy trzej apasze leżeli skrępowani, widząc z wściekłością, że dali się podejść przeciwnikowi liczebnie słabszemu.

— Panie poruczniku — rzekł Lochow półgłosem po niemiecku do Blumego — jakkolwiek to nieładnie jeść rzeczy kradzione, ale przyznam się, że głód dręczy mię strasznie... Nie mogę się powstrzymać od zjedzenia choćby odrobiny z tych tutaj porozrzucanych smakołyków.

— Macie słuszność, Lochowie — odparł Blume — zjeść musimy, gdyż poprostu upadniemy na ziemię. Zresztą osłabieni może nie dalibyśmy rady na dalszą metę tym trzem drabom, a będziemy mieli z nimi jeszcze wcale sporo roboty. Jeden tylko stawiam warunek, abyśmy nic nie pili.

— Zgoda, panie poruczniku.

W dwadzieścia minut później obydwaj niemcy, pokrzepieni na siłach, zabrali się do przesłuchania apaszów.

— Wstawać — zakomenderował Lochow z wprawą starego kryminalisty — wstawać i nie robić żartów. Żartów nie znam.

Apasze mieli nogi skrępowane tak luźno, że mogli się podnieść, a nawet iść zwolna. Sznury zapobiegały wyłącznie ich ucieczce.

— Uważajcie, moi panowie, dobrze na to, co wam powiem — zakomenderował Lochow. — Musicie wyprowadzić nas z waszej kryjówki drogą najbliższą. Leży to w waszym własnym interesie, abyśmy wydostali się jak najprędzej na światło dzienne. Jeżeli okażecie dobrą wolę, policzą wam to w trybunale jako okoliczność łagodzącą.

Trójka apaszów spojrzała nasamprzód na siebie, potem na Lochowa i zrozumiała, że niema żartów. Lochow i Blume wzięli w ręce latarnie i zakomenderowali:

— A zatem marsz, marsz.

Bandyci znali widocznie drogę doskonale. W półświetle latarń szli zupełnie pewnie korytarzami, zbaczając od czasu do czasu w prawo i w lewo, a nawet pozornie powrotnie. Lochow i Blume nie mówili z sobą ani słówka. Cała ich uwaga skupiała się na owych trzech drabach, którzy równocześnie byli ich jeńcami i służyli im za przewodników. Obydwaj niemcy wiedzieli, że tylko czujność niesłychana może ich uratować z obecnego położenia.

Nagle jeden z apaszów zamruczał coś pod nosem nibyto do siebie argotem paryskim.

— Milczeć — krzyknął Lochow, który znał doskonale świat apaszów. Odrazu zdał sobie sprawę, że owo zamamrotanie pod nosem było hasłem dla dwóch innych towarzyszy do wykonania jakiegoś podstępu.

I w samej rzeczy jeszcze echo rozkazu Lochowa nie umilkło, gdy apasz, idący tuż przed nim, upadł na ziemię tak zręcznie, że Lochow się potknął i upadł na ziemię. Latarnia, którą miał w ręku, rozprysła się na kawałki i światło zagasło. Odrazu apasz, idący na przodzie, obrócił się. Ku wielkiemu zdziwieniu raczej, aniżeli przerażeniu Blumego pokazało się, że ma ręce wolne. W jaki sposób potrafił on wyciągnąć ręce z pętlicy, założonej przez Lochowa, było to dla Blumego zagadką. W tej samej chwili w ręku apasza błysnęła lufa rewolweru i rozległo się kilka strzałów. Na szczęście apasz strzelał źle. Kule świsnęły koło uszu Blumego.

Zanim apasz miał czas nabić rewolwer po raz wtóry, Lochow był już znowu na nogach i rzuciwszy się na apasza, któremu nogi skrępowane nie pozwoliły uciekać, wyrwał mu rewolwer z ręki i jednem uderzeniem pięści potężnej w czaszkę obalił hultaja na ziemię. Ten z apaszów, który był jeszcze na nogach, widząc, co się dzieje z jego towarzyszami, zawołał:

— Litości, ja was wyprowadzę.

Lochow i Blume spojrzeli na niego z zdziwieniem nieukrywanem. Dopiero teraz po głosie poznali, że mają przed sobą kobietę w sukniach męskich.

— Łajdaczka, — zawołał apasz, który rzucił się na ziemi.

— Panie poruczniku — rzekł Lochow, — proszę uważać na światło. Mamy teraz już tylko jedną latarnię. Ta panna niech idzie naprzód, a ja zajmę się przetransportowaniem obu hultajów.

W parę minut ręce apaszów były skrępowane już tak silnie, że żadne sztuczki choćby najkunsztowniejsze nie pomogłyby im do rozluźnienia więzów. Pochód uformował się w sposób następujący. Na czele szła owa kobieta w sukniach męskich, dziewczyna z przedmieścia paryskiego, widocznie kochanka jednego z dwóch apaszów, zdaje się, że tego, który pierwszy upadł na ziemię. Drugie miejsce Lochow wyznaczył temu właśnie apaszowi, ponieważ wydawał mu się najniebezpieczniejszym. Jako trzeci kroczył apasz, który strzelał. Potem szedł Lochow z rewolwerem, nabitym nabojami, znalezionymi w kieszeniach apasza. Cały oszak zamykał Blume, niosąc w ręce prawej latarnię, i to dosyć wysoko, aby rozświetlić korytarz na przestrzeń możliwie najdłuższą.

Pochód nie trwał zresztą zbyt długo. Już po paru minutach na zakręcie ukazała się w oddali plamka srebrzysta. Im bardziej się do niej zbliżano, tem dokładniej można było poznać wyjście z lochu. Jeszcze chwila i jeszcze chwila, a cały orszak stanął u otworu, będącego dla obu niemców wrotami wolności. Ten otwór maskowały krzaki gęste, zarosłe tak, iż tylko ludzie wtajemniczeni mogli odkryć między owymi gąszczami wejścia do kamieniołomów.

— Co za rozkosz — zawołał Blume do Lochowa po niemiecku, wciągając w siebie powietrze.

Dzień miał się ku schyłkowi. Widocznie jeszcze do niedawna padał deszcz. Ziemia była rozmiękła i w zaklęśnięciach widniała woda. Na niebie nie brakowało chmur. W atmosferze panowała wilgoć.

— Nie wiemy, co to za dzień, bo zatraciliśmy rachubę czasu — zauważył Blume.

— Cierpliwości, poruczniku — odpowiedział Lochow — niebawem dowiemy się o wszystkiem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Z tułaczki polskiej.

Spotwarzanie własnego kraju.

Wojna domowa właścicieli dóbr galicyjskich z dzierżawcami.

Wiedeń, pod koniec lutego.

W przeszłym tygodniu pan minister rolnictwa Zenker przyjął deputacyę dzierżawców galicyjskich. W skład tej deputacyi wchodzili panowie M. Thuerhaus (Pomorzany), dr. Kinzi (Rawa Ruska) i Kazimierz Smiałowski (Zalozieckie).

Deputacya miała na celu przedstawienie panu ministrowi rolnictwa wszystkich szczegółów, malujących obecne, wręcz rozpaczliwe położenie materyalne dzierżawców galicyjskich. Przedłożyła mu także sposoby, z pomocą których rząd mógłby zaraz po wojnie przynieść pomoc dzierżawcom galicyjskim. Taka pomoc leży nie tylko w interesie jednostek, które trudnią się dzierżawami, ale także całego rolnictwa galicyjskiego, a więc kraju i państwa.

Pan minister wysłuchał bardzo uważnie przedłożonych mu informacyj i postulatów. Następnie zaczął robić rozmaite uwagi, wśród których między innemi oświadczył, że dzień przedtem była u niego deputacya właścicieli ziemskich galicyjskich. Ta deputacya wystąpiła bardzo ostro przeciwko dzierżawcom, przytaczając głównie trzy argumenty. Przedewszystkiem, że dzierżawcy w ostatnim czasie nie płacili rat rzekomo z powodu nieurodzajów. Powtóre, dzierżawcy nie zasługują na pomoc rządową i na opiekę rządu, ponieważ rekrutują się głównie z rozmaitych spekulantów, którzy poprzednio handlowali starem żelazem albo towarami łokciowymi, potem zaś przypadkiem wzięli się do dzierżawienia majątków, ponieważ obiecywali sobie, że kapitał, inwestowany w ziemię, da im odsetki daleko większe, aniżeli innego rodzaju spekulacye. Po trzecie wreszcie inwentarz martwy i żywy majątków zrujnowanych nie należy do dzierżawców, lecz do właścicieli ziemskich.

Deputacya dzierżawców nie dopytywała się o nazwiska tych obywateli ziemskich, którzy rzucili potwarz na stan cały dzierżawców galicyjskich. Pospieszyła jednak objaśnić pana ministra, że „owe zarzuty polegają conajmniej na fałszu. Większość olbrzymia dzierżawców galicyjskich składa się z ludzi fachowych. Wielu z nich pokończyło wyższe studya agronomiczne. Wielu z nich siedzi na dzierżawach już w trzecim pokoleniu, tak iż dzisiejsi dzierżawcy są wnukami tych dzierżawców, którzy dzierżawili majątki od dziadów obecnych właścicieli ziemskich. Prawda, że między dzierżawcami znajduje się drobna ilość spekulantów, ale dzieje się to z winy właścicieli ziemskich, którzy łakomiąc się na niemożliwie wysokie raty dzierżawne, oddają majątki w dzierżawę każdemu, kto zaofiaruje im cenę wysoką bez względu, czy ów dzierżawca posiada przygotowanie fachowe i daje rękojmie moralne. Za wciskanie się takich żywiołów między dzierżawców galicyjskich są odpowiedzialnymi tylko właściciele ziemscy. Wreszcie nie jest prawdą, by inwentarz żywy i martwy należał do właścicieli majątków. Prawie zawsze inwentarz należy do dzierżawców. Straty tedy z inwentarza, zabranego przez wroga, spadają na dzierżawców, a nie na właścicieli ziemskich".

Tyle powiedziała deputacya dzierżawców panu ministrowi rolnictwa. Z jakiem jednak uczuciem względem pewnych właścicieli ziemskich galicyjskich ta deputacya wyszła od pana ministra, łatwo sobie wyobrazić. Czyż godzi się rzucać potwarz na cały i poważany stan dzierżawców w takiej chwili, jak obecna. Czyż jest rzeczą etyczną występować nagle z potwarzami przeciwko własnym dzierżawcom tylko w celach zysku materyalnego.

Deputacya dzierżawców galicyjskich nie łudziła się bowiem i nie łudzi ani na chwilę, że źródłem jedynem wystąpienia owej deputacyi właścicieli ziemskich galicyjskich u pana ministra rolnictwa przeciwko dzierżawcom jest chęć złapania w ręce własne tego odszkodowania, które rząd będzie po wojnie wypłacał celem podniesienia rolnictwa galicyjskiego.

Temu lub owemu z właścicieli ziemskich uśmiecha się myśl schwycenia po wojnie w ręce własne odszkodowania za straty, które właściwie ponosi dzierżawca. Że takie postąpienie jest nieetycznem i podwójnie brzydkiem dla tych, którzy jako obywatele ziemscy powinni przodować etyką całemu społeczeństwu, o tem tego rodzaju właściciele ziemscy nie myślą. Nie zdają sobie też sprawy z tego, jak się ukształtuje ich położenie materyalne, gdy po szybkiem przepuszczeniu odszkodowania będą musieli zabrać się sami do warsztatu rolnego, na którym nie pracowali już od lat wielu, czy to skutkiem lenistwa, czy też nieumiejętności.

Wtedy na tego rodzaju obywatelach ziemskich pomści się ich postępowanie dzisiejsze.

Czy się nam śmiać wypada?

Z powodu kabaretu polskiego w Wiedniu.

Co kilkanaście dni obchodzi kawiarnie wiedeńskie stary służący i rozdziela między gości programy, zapowiadające „kabaret polski o nadzwyczajnym programie" lub „benefis pana N.".

Część programu, drukowana w języku niemieckim, a więc o treści zrozumiałej dla wiedeńczyków, wywołuje wśród nich dyskusyę. Ale nie dyskusyę na temat programu....

Mówią głośno o wesołości polskiej w smutnej dla polaków chwili, mówią też o „doli" wychodźców wojennych....

A my, polacy, musimy to słuchać i to ze wstydem, bez słowa protestu, bo białe kartki programu świadczą dowodnie o istnieniu i działalności polskiego kabaretu.

Gdy omawiano sprawę, czy teatr polski ma grać w Wiedniu, zastanawiano się poważnie i były nawet głosy, przemawiające za wstrzymaniem przedstawień teatru polskiego. Ale przemogły zdania słuszne, które kazały teatrowi polskiemu istnieć i rzucać z sceny mowę polską, sztukę polską, ale poważną, jak tego groza chwili obecnej wymaga.

I nagle się zjawił kabaret polski....

Nawołuje on nas do śmiechu w chwili, gdy nasz dobytek sierocy przy akompaniamencie armat — płonie, gdy nasi najbliżsi w wilgotnych rowach strzeleckich znoszą trudy i następstwa wojny.

Z powodu kabaretów polskich mamy przykrości nie tylko z strony niemieckiej. Niedawno z okazyi uroczystego nabożeństwa na intencyę powodzenia naszych legionistów w kościele na Rennwegu wygłosił kazanie duchowny polski. Czcigodny ks. kaznodzieja użył wyrażenia, że wojna dzisiejsza jest skutkiem naszego niezwykłego zamiłowania w kabaretach i rozrywkach zmysłowych. Zaznaczył dalej, że zamiłowanie to jest u nas tak bardzo i głęboko zakorzenionem, boć nawet dziś, gdy spadł na nas szereg smutków i żałob, jeszcze myślimy o kabarecie i przyjemnościach.

Na szczęście nie jest tak źle, jak ks. kaznodzieja wypowiedział. Na przedstawienia kabaretu polskiego uczęszcza bardzo szczupła garść publiczności i coraz bardziej topnieje. Ale boli nas, że zapowiedzi i przedstawienia kabaretu wywołują u obcych dyskusyę dla nas ujemną.

Czasy dzisiejsze o nastroju tak poważnym, jaki budzi wojna, absolutnie nie nadają się do urządzenia kabaretów.

Chętnie będziemy widzieli kabaret polski w murach naszego Lwowa, gdy po burzy zabłyśnie dla nas słońce lepszej przyszłości. Wtedy będziemy się śmiali i bawili.

Dzisiaj inne czasy....

St. Zachariasiewicz.

Kto został w Lwowie.

(Lista Nr. 4).

Uprzejmości pp. inżyniera Kosińskiego z Lwowa, obecnie w Reichenbergu (Czechy), i Henryka Forusa, naczelnika stacyi w Belszowcach, obecnie w Boguminie na t. zw. Dworcu zewnętrznym (Aussenbahnhof) zawdzięczamy nazwiska dalsze osób, które pozostały w Lwowie: Prof. dr. Adolf Beck z rodziną, Radca Dworu inż. Alfred Jędrkiewicz z rodziną, radca Dyrekcyi kolejowej inż. Karol Robel z rodziną, radca Wojciech Biesiadzki z rodziną, prof. Politechniki lwowskiej Z. Sochacki z rodziną, żony profesorów Politechniki panie Wątorkowa i Huberowa, a także panie Ferusowa i Z. Stankiewiczowa.

Pan Władysław Anczyc, znany właściciel drukarni w Krakowie, komunikuje nam, że pozostali w Lwowie: prof. Politechniki dr. Stanisław Anczyc i prof. oraz były Rektor Uniwersytetu dr. Ludwik Finkel.

Prócz tego nasz współpracownik (Z) przesłał nam nową listę:

* * *

Profersowie uniwersytetu: dr. St. Grabski, dr. Weyberg, dr. Szelągowski, dr. Nusbaum-Hilarowicz, dr. Kalenbach, dr. Łukasiewicz, dr. Niementowski, dr. Naber. Kupcy: Motylewski, Krzyszkowski, Lasocki, Czudżak, Kleczeński, Sicher, Stadtmüller, Klimkiewicz, wł. restauracyi „Zakopane", Poloniecki, Altenberg, Kaufman, wł. hotelu, Jäger, wł. hotelu. Przemysłowcy: dyr. fabr. obuwia „Gafota" Kajetanowicz, Jakubowski, wł. drukarni, Artur Goldman, wł. drukarni, Thom, wł. młyna parowego, Kaczka-Karczyński, dyr. młyna „Marya-Helena". Dziennikarze: Władysław Szenderowicz, Tadeusz Hartleb, Tadeusz Gubrynowicz, Biega i Medycki, dyr. „Słowa Polskiego". Adwokaci: dr. Godlewski, dr. Emanuel Luft, dr. Natan Korkes. Dyrektorowie banków: Żmudzki, radny m. Oberski, Kazimierz Borkowski, sekretarz banku kraj., adw. dr. Rabner, poseł Władysław Stesłowicz, urzędnicy Izby handlowej: Pokiziak i Rosner, kand. notar. Czanderna, przew. Kasy chorych Obirek, pani Wolfsthalowa, matka znanego kapelmistrza, nadradca Hozer z żoną, dr. Piepes-Poratyński, dr. Zdzisław Pruchnicki, adw. dr. Pieracki, dr. Józef Selzer, Maurycy Spiegel, wł. składu sukna, Winiarz, członek Izby handl., radca skarbu Antoni Sołtysik, Pielecki, wł. składu broni, Filip Waldman, wł. cegielni, Achilles Rosenkranz, dr. H. Sawczyński, radca wydziału krajowego, rektor politechniki Pawlewski z rodziną, docent dr. Czarnecki z rodziną, prof. dr. Grzegorz Ziembicki, prof. dr. Herman, docent dr. Czyżewicz, prym. dr. Świątkiewicz, prof. uniw. Kuczera, dr. Marischler, prof. Jurasz z rodziną, dyr. gimn. Dolnicki, eks. Filipowa Zaleska, wdowa po b. ministrze i namiestniku, poseł Henryk St. Badeni, Sokołowski, wł. biura dzienników, poseł Vivien, poseł dr. Kasznica, dyr. Bol. Lewicki,

*

Ogłoszone w poprzednich numerach „Nowin Wiedeńskich" spisy osób, które zostały w Lwowie, obudziły w szerokich kołach przybyszów galicyjskich ogromne zainteresowanie. Czyniąc zadosyć życzeniu czytelników i przyjaciół „Nowin Wiedeńskich", będziemy i nadal ogłaszali nazwiska osób, które zostały w Lwowie. Nadto w numerze dzisiejszym podejmujemy drukowanie nazwisk osób, które zostały w Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnopolu.

Poprzednie spisy osób (Lwów). a więc lista nr.: 1, 2, 3 są do nabycia w administracyi naszego pisma, za nadesłaniem należytości w kwocie 60 halerzy w markach pocztowych.

Kto został w Tarnopolu.

Lista Nr. 1.

(Z) P. P. Kozicki, prezydent sądu, Stopka, prof. gimn., Roguscy, Trojnar, dyr. szkoły realn., Piwocki, radca dw. i prokurator, Zakrzewski, kasyer banku rady pow., prokurator Lewandowski, dyrektor Michalowski, Gottliebowa, dyr. Maciszewski, Zofia Pohorecka, ks. infułat Twardowski, ks. Kawecki, ks. Gutwiński, ks. Klementowski, prof. Solecki, prof. Fyda, Marya Kuczkowska, prof. Libera, prof. Jaworczykowski, Axelrad, bankier, adw. dr. Rosenfeld, burmistrz miasta Mandel, Dmytrowowa, wdowa po profesorze, były burmistrz Puntschert, sędzia Stanie-

wicz, adw. dr. Csillig z synem Bronisławem, Sochaniewiczowa, komisarz starostwa Moschütz, Friedrichowa, żona starosty, radca sądu Zahradnik, prokurator Zakrzewski z Złoczowa, dyr. banku Łysiak (podobno wyjechał do Petrogradu), radca sądu Łukawiecki, dyr. gimn. Lenkiewicz, Podlewski, kierownik „Floryanki“, Raszowscy, Korytkowie, Samolewicz, urz. kasy oszcz., Skudrzyk, urz. banku austro-węg., sędzia Podwiński, Dzierżanowski, naczelnik stacyi, Hordyńska, żona lekarza, Ingwerowie, Celina Wiakowska, Rudnicki, naczelnik straży ogniowej, Grabowska, żona lekarza, ks. kanonik Gromnicki, Kotecki, urz. poczt., prof. Srokowski, dr. Echardt, dyrektor szpitala, dr. Jan Promiński, profesor sem., mag. farm. Adler, Kruszelnicka, nauczycielka, Tyczuński, urz. „Floryanki“, Huculak, wł. drogueryi, Ernestowie Leiblingerowie, Jadwiga Stachiewiczówna z ciotką Popowiczową; kupcy: Grünn, Kullanda, Grajewski, Michalewski.

Kto został w Stanisławowie.

Lista Nr. 1.

Obecny burmistrz miasta: Fiedler, Artur Aulich, prezydent sądu, Fr. Maramarosz, radca sądowy, dr. Krasowski, lekarz, Celestyn Lachowski, dyr. gimn., Bertoni, radca sądu, O. Blumenfeld, radny m. i wł. młyna, Maks Ebner, kupiec, Boral, kupiec, J. M. Horowitz, radny m., Ch. Horowitz (junior), radny m., Hauswald, kupiec, prof. Seidler, prof. dr. M. Weissberg.

Kłopoty lwowskich szynkarzy.

Między przybyszami z Galicyi, przebywającymi w Wiedniu, znajduje się około 70 szynkarzy z Lwowa, przeważnie ludzi zamożnych. Pięćdziesięciu z nich, to właściciele realności w Lwowie lub na przedmieściach. Po wyczerpaniu się zabranych na prędce funduszów znaleźli się szynkarze na bruku wiedeńskim w kłopotliwem położeniu, zabrakło im bowiem środków do utrzymania siebie i swoich rodzin. Z inicyatywy kilku członków zarządu korporacyi szynkarskiej zebrali się tedy szynkarze przed kilku tygodniami na wspólną naradę, celem obmyślenia sposobu wyjścia z tej krytycznej sytuacyi.

Na wniosek p. Arnolda uchwalono zwrócić się do adw. dr. Szaffa, dyrektora Towarzystwa akc. browarów, z prośbą, by za solidarnym obligiem wszystkich w Wiedniu przebywających szynkarzy, wypłacił im kwotę 25.000 kor. na poczet kwoty 80.000 kor., którą korporacya szynkarska ulokowała w Towarzystwie akcyjnem browarów w Lwowie w celach fruktyfikacyi. Tą prośbę przedstawiła dr. Szaffowi wydelegowana deputacya, w skład której wchodzili bawiący tu członkowie zarządu korporacyi szynkarskiej, a mianowicie: p. p. Arnold, Ignacy Wiksel, Sessler i Fabian. P. dr. Szaff odpowiedział deputacyi, że bez formalnej uchwały wydziału korporacyi żądanej kwoty wypłacić nie może, formalna zaś uchwała zarządu tutaj, w Wiedniu zapaść nie może, gdyż przewodniczący korporacyi Jakob Löwenheck i Krzysztof Janowicz tudzież członkowie wydziału Balas, Wenzel i Jakób Landes pozostali w Lwowie. Wobec tego zażądali przybysze-szynkarze listownie od członków wydziału, pozostałych w Lwowie, upoważnienia do podjęcia u dr. Szaffa kwotę 25.000 kor. z majątku korporacyi.

Przychylnej odpowiedzi od kolegów swych z Lwowa oczekują szynkarze lada dzień.

Egzamina i rygoroza na wszechnicy lwowskiej.

(Z) Dnia 1-go września 1914, na dwa dni przed wkroczeniem nieprzyjaciela opuścił Lwów rektor uniw. prof. dr. Starzyński, oddając urzędowanie w ręce prorektora prof. dr-a Becka. Równocześnie z rektorem d-rem Starzyńskim, wyjechał też z Lwowa prof. dr. Twardowski, którego wybrano rektorem na rok administracyjny 1915.

W dniu 26-ym września minął rok administracyjny 1914, a ponieważ prof. Twardowski bawił w Wiedniu, rządy rektora uniwersytetu lwowskiego zatrzymał dr. Beck, który do tej pory jest faktycznym rektorem.

Na podstawie wiadomości, otrzymywanych z Lwowa, dowiadujemy się, że na wszechnicy tamtejszej odbywają się od czasu do czasu egzamina i rygoroza. Wedle zdania czynników kompetentnych, mają one bezwarunkowo ważność prawną.

Podpatrzone i podsłuchane.

Z bruku ulicy wiedeńskiej.

Przystanek tramwajowy... godzina dziewiąta rano.... Z niecierpliwością wyczekuję wozu, który zawieść mię ma na drugi koniec — Wiednia.... Czekam, przestępując z nogi na nogę i patrzę....

Z jakiegoś tam okna na piątem piętrze zawisło nagle coś różowego, coś w rodzaju pierzynki, wyłożonej po długiem snać zamknięciu wśród ciężkiej zaduchy nocnej dla zaczerpnięcia świeżego powietrza porannego.

Z przeciwległej strony ulicy spostrzega owo „ciekawe widowisko“ u progu „salonu“ stojący fryzyer i wysoko wyciągniętą dłonią zwraca na nie uwagę swego pomocnika. Ów ruch ręki fryzyerskiej spostrzega atoli na nieszczęście nietylko sam pomocnik fryzyera, lecz równocześnie kilku jeszcze przechodni — i w okamgnieniu poważna już grupka ludzi (z fryzyerem i fryzyerkiem w pośrodku) patrzy z wysoko na karku osadzonemi głowami ku niebu i różowej pierzynce.... Po chwili potężnieje zebranie do kilkunastu, kilkudziesięciu i kilkuset członków, nikt z obecnych nie wie, o co chodzi i na co inni się patrzą, w ciągu jednej minuty powstaje na chodniku olbrzymi ścisk i natłok, przez całą szerokość i długość ulicy stoją tramwaje, auta, ciężarowe wozy, autobusy, omnibusy i t. d. przychodzi wreszcie policyant i...

Boże! Jakto w Wiedniu powstają zbiegowiska....

*

Fala wychodźcza zagnała do Wiednia i Józię. Wsiadłszy onegdaj do tramwaju, zastałem ją całą w pąsach, silnie zaaferowaną. Łzy spływały jej z twarzy i lękliwie coś bełkotała przed zniecierpliwionym widocznie konduktorem.

Gwoli lepszego spamiętania sobie tego, co z nakazu swej „pani“ powiedzieć ma na wołanie „Fahrkarten“, zapisała to sobie Józia na karteczce wszystko najdokładniej, konduktor jednak nic jej nie rozumie i każe zabierać się z tramwaju. I jakże w sytuacyi takiej nie płakać?...

Wziąłem z drżących rąk Józi karteczkę i przeczytałem ją. Wypisane na niej były dwa słowa: „fircyk umsztyk“....

W lot zrozumiałem słowa Józinej „pani“, samą Józię i jej karteczkę. Nieco kiepsko tylko zapisała sobie Józia słowa: „vierzehn umsteigen“.... Pomogłem jej tedy przy zakupnie biletu, myśląc sobie przy tem:

— O jak biedne są te nasze Józie na bruku ulicy wiedeńskiej i jak cieszyć się będą kiedyś, gdy wsiadając do tramwaju, powiedzieć będą mogły z dumą: „Proszę dla mnie — z przesiadką“....

*

Godzina dziewiąta.... Pochmurny, słotny wieczór.... W głębokim mroku nocy toną olbrzymie pudła domów po obu stronach wązkiego zaułka. Tuląc się do murów kamienic, postępuje tuż za mną jakaś samotna postać niewieścia i głęboko snać w myślach zatopiona następujący wygłasza monolog:

„Gusti, dziecinko moja, jakaś ty brzydka, jakaś nieprzyzwoita! Tyle razy już cię uczyłam, że nie ładnie jest wścibiać wszędzie swój dzióbek. I czegoż ty, maleństwo moje, właściwie tu szukasz? No, Gusti moja, czyż znowu?... Duszyczko, wstydź się, może ktoś przecież zobaczyć!... Nie sprawię ci już za karę ani sukieneczki, ani nawet kapuzki. Więc bądźże grzeczną, maleństwo ty moje!“...

„Waryatka“ — pomyślałem sobie. — Utrata jedynego może dziecka przyprawiła pewnie biedaczkę o obłęd. Ciągle, widać, o niem myśli i ciągle doń mówi, jak dawniej, jak wtedy, gdy ono jeszcze żyło....

Zwolniwszy nieco kroku, zrównałem się z nieszczęśliwą kobietą w pobliżu latarni i w jednej chwili zrozumiałem jej ból serdeczny i cały, przed chwilą podsłuchany „monolog“. Na eleganckiej linewce prowadziła owa pani małego „pincza“ w aksamitnej sukienieczce i jedwabnej kapuzce na głowie...

Boże! — Pomyślałem sobie w tej chwili — czemużto każda wiedenka prowadzić musi pieska? I jakież czule zaprawdę jest owo „złote serce wiedeńskie?“...

P. S. Mały pinczek nie był zapewne „Flüchtlingiem“.... (h)

Teatr polski w Wiedniu.

Występy gościnne na scenie „Bürgerteatru".

Józef Bliziński: „Rozbitki."

Józef Bliziński był dzieckiem Warszawy, synem niezamożnego urzędnika Komisyi czyli ministerstwa wojny za czasów Królestwa Kongresowego. Po skończeniu gimnazyum w 1843 r. wstąpił do kancelaryi jednego z rejentów warszawskich. Wtem śmierć nagła bogatego wuja, który posiadał piękny majątek ziemski, pchnęła go w dziedzinę zupełnie nowych stosunków. Młody dependent od rejenta na ulicy Miodowej zamiast przeglądać akta hipoteczne ujrzał się obywatelem ziemskim i wszedł w sfery obywatelskie, które pod owe czasy patrzyły z góry na każdego mieszczucha.

Figura Straża jest po części kawałkiem autobiografii Blizińskiego. Wrażenia i doświadczenia, które młody dependent rejentalny zbierał, wchodząc w sfery obywatelskie, włożył później w przygody i usta Straża. Fabuła komedyi i reszta losów Straża są oczywista fantazyą.

Umiejętna ręka reżyserska pana Maryana Jednowskiego umiała skrócić bardzo artystycznie i bardzo odpowiednio nieco przewlekłe — jak na wymagania dzisiejszej techniki teatralnej — akcyę komedyi. Z artystów wysunęli się tym razem na czoło Maryan Jednowski, który dyskretnie i bez przesady grał rolę Kotwicza Czarnoskalskiego, pan Fronczkowski, który sprawił prawdziwą niespodziankę rolą Szambelana, pani Wierzejska, która jako Lechcińska złożyła nowy dowód, że jest może dzisiaj najpierwszą na scenach polskich artystką dla ról kobiecych komicznych. Natomiast o pewne rozczarowania przyprawił nas tym razem pan Jan Nowacki. Grał rolę Straża stanowczo za ordynarnie i brutalnie. Nie zrozumiał, że rodowity warszawianin, dziecko miasta, które w całej Polsce od wieków słynęło z dobrych manier nawet w bardzo niskich warstwach ludności, nie będzie się zachowywał tak po grubiańsku, jak to on podkreślił w drugim i trzecim akcie . . . Straż, wchodząc na salony Szambelana, musiał być zmieszanym, zakłopotanym, ale nigdy nieokrzesanym. Pieniądze mogły mu przewrócić w głowie, mogły też wzbudzić w nim pogardę dla pieczeniarzy. Ale wszystko to powinno być złagodzonem wrodzoną każdemu warszawianinowi, choćby był nawet dependentem rejentalnym, wytwornością i ogładą. Szkoda, że pan Nowacki nie miał sposobności widzieć tego, który pierwszy kreował ową rolę, to jest Romana Żelazowskiego, a byłby się przekonał, jak ową rolę grać należy.

Podjęcie robót technicznych w kopalniach tow. „Opiag" w Bitkowie.

(Z) Już w najbliższych dniach wyjeżdża do Bitkowa, uwolnionego przez wojska austro-węgierskie od inwazyi moskali, dyrektor twa. „Opiag" inż. p. Piotr Zubrzycki, celem podjęcia robót technicznych w kopalniach ropy, będących własnością tego towarzystwa akcyjnego.

Inż. Zubrzycki wyjeżdża w towarzystwie personalu technicznego, który uchodząc przed moskalami, schronił się do Wiednia, wyczekując uwolnienia Bitkowa. Jedynym reprezentantem tow. „Opiag", który pozostał na stanowisku w czasie pobytu moskali na terenie szybów, był p. Morgules. Opiekował się on kopalnią i robotnikami, zajętymi do czasu najazdu. P. Morgules z polecenia dyrektorów towarzystwa wstrzymał wszelkie roboty techniczne, troszcząc się tylko o to, by moskale nie podpalili szybów.

Jak się dowiadujemy, szybów nie zniszczono, a moskale „ograniczyli" się do zabrania kilkunastu koni, uprzęży i wozów, będących własnością towarzystwa.

Przybycia inż. p. Zubrzyckiego oczekuje kilkuset robotników. Podejmą oni natychmiast roboty techniczne. Równocześnie ma zamiar wyjechać do Bitkowa dyr. inż. Bielski. Dzień wyjazdu zależy od ministerstwa wojny, które decyduje o wyjeździe do miejscowości świeżo uwolnionych od inwazyi nieprzyjaciela.

Wszyscy nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymają początek powieści oryg. „Córka policmajstra Kronstadtu" za opłatą 65 halerzy już razem z przesyłką pocztową.

Premium dla prenumeratorów „Nowin Wiedeńskich Illustrowanych".

Wszyscy prenumeratorzy kwartalni „Nowin Wiedeńskich" płacą za „Historyę Austryi Konstytucyjnej (Tom I, 1860—1868) zamiast ceny księgarskiej 3 kor. 75 hal. **tylko 1 kor. 60 hal.** już z przesyłką pocztową.

Informacye.

Monopol rosyjski i angielski w dziedzinie handlu herbatą będzie skutkiem tej wojny należał do przeszłości, jak zresztą wiele innych monopolów Anglii i Rosyi. Publiczność w Austro-Węgrzech i w Niemczech przekonała się, że wszystkie tak zwane herbaty angielskie i rosyjskie korzystają bezzasadnie z przypisywanych im specyalnych zalet i specyalnej dobroci. Najlepszą była i jest herbata chińska. Tę herbatę chińską od szeregu lat sprowadza z Chin bezpośrednio do Europy firma Pekarek w Wiedniu. Herbata Pekarka ma wszystkie zalety, które posiadają herbaty tak zwane angielskie i rosyjskie, ba! przewyższa je nawet dobrocią. A równocześnie nabywca ma tę zasługę i zadowolenie, że nie wzbogaca swoim groszem anglików i moskali. Na tę okoliczność zwracamy uwagę Szanownych Czytelników „Nowin Wiedeńskich Illustrowanych."

Na Rivierze austryjackiej sezon wiosenny zaczyna pulsować już swojem zwykłem życiem. Jak nam donoszą z Lovrany, „Hotel Lovrana" Marchala, znany punkt zborny wykwintnych sfer towarzyskich, otwiera dnia 8-go marca twoje podwoje.

Janina Dylińska, zamieszkała u M. Koniuszewskiego w Przywozie (Oderfurt), Morawy, Müllergasse 397, prosi o wiadomość o rodzicach Władysławie i Maryi Dylińskich z Bruniową pod Tarnopolem.

Treść numeru:

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Adam Nowicki. — Drukarnia nakładowa „Vorwärts", Swoboda i Sp., Wiedeń V, Rechte Wienzeile 97.